Tom II. **Nr. 15.**

21. Maja **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ŚWIĘTY JACEK W KOSCIELCU.

Dawne to już czasy, kiedy żył nasz święty Jacek, dominikan z Krakowa. Będzie temu dobrze ze 600 lat. Czynił on siła dobrego ludziom i niejeden cud sławny stał się za jego przyczyną. Między innemi rozpowiadają taką rzecz: — Jest nieopodal Krakowa za Wisłą wieś, co się nazywa Kościelec. — Otóż w tej wsi razu jednego cieszyli się ludzie, żeć im Pan Jezus pięknie w polu zarodził. Już dawno nie zapamiętali takich urodzajów. A było to jakoś w sobotę: żytko już dojrzało jeno go brać pod sierpy, pszenica także na dojrzewaniu — więc chłopy składają wozy, wyprzątują miejsca na sterty; baby znowu i dziewki ostrzą sobie sierpy, bo z niedzieli miały się już na prawdę zacząć żniwa. Nazajutrz jeszcze wszystko dobrze: pogoda śliczna i zda się że potrwa długo. Cała wieś w świątecznych sukniach wysypała się do kościółka na niedzielne nabożeństwo. Ażci tu prawie pod koniec sumy zdało się ludziom, jakoby gdzieś zdala zagrzmiało. Wychodzą z kościoła i spozierają po niebie, czy to na prawdę był grzmot, czy tylko tak im się wydało. Oj taki na prawdę — od południa srogie chmurzysko idzie, a wprost

na kościeleckie łany. W powietrzu parno aż ciężko piersiom oddychać, na drzewie ani listek się nie ruszy jakby się czegoś zalękły, a jaskółki niziuchno ponad ziemię latając, zapowiadały niedaleką burzę. Łyskało się też raz po raz straszliwie i grzmot coraz bliżej dudnił niby na postrach.

Więc gospodarze ręce załamali i radzą: — Taki na burzę się zanosi!

— A zanosi, powiada stary sołtys i smutno pokiwał głową — ale co gorsza, żeć to pono niezwykła chmura, jeno gradowa.

— Ej sołtysie! wołali drudzy — co powiadacie, uchowaj Boże! niechby się wasze słowo nie sprawdziło.

— Dałby Bóg, rzeknie sołtys — módlmy się, może Pan Jezus odwróci od nas to nieszczęście.

Kobiety też sobie; stoją one przed chałupami i patrzą kędy chmura idzie, a jak się załyska, to się żegnają: „a słowo stało się ciałem“ — i ciężko z piersi wzdychają. A dzieci znowu przed grzmotem krzycząc, kryją się po za swoje matki.

Tak było przed burzą. Aż i ponad samą wieś nadciągnęła chmura i stało się ciemno jakoby w nocy. Jezus Marja! co się tam wtedy nie działo! — Odgadł sołtys że była gradowa chmura. Zajęła ci ona wszystkie pola kościeleckie i dopiero jak sypnie gradem, tak było już i po żniwach. A gdy minęło i wypogodziło się na dworze, ludziska powychodziły z chałup, żebyć się przypatrzyć swemu nieszczęściu. I oto, gdzie stało zboże na łanie, tam już po niem ani śladu, jeno wszędy leżą kupy białego gradu i tyle wszystkiego. Oj byłoż tam płaczu srogiego co aże strach powiedzieć! Matki z wielkiego żalu rwały sobie włosy na głowie, a drugie znowu tuliły małą dziatwę do siebie, wykrzykując raz po raz: — Oj mojesz ty biedactwo, moje! oj będziesz musiało z głodu umierać!... Ojcowie zaś patrzący na to, stali w milczeniu, jakoby ich ktoś w kamienie zaczarował.

I kiedy tak wszyscy pozwieszali głowy nad onem nieszczęściem, stary sołtys spojrzał jakoś ku Wiśle. Na drodze co wiodła od promu do wsi, szedł sobie sporym krokiem księżyna, widać ze stroju że dominikan. Poznał ci go sołtys bo zawołał:

— Ot i pociecha nasza, gospodarze! ksiądz Jacek zawitał z Krakowa.

Na te słowa wszyscy zwrócili się duchem ku onej stronie i jak zobaczą księdza, takci zaraz jakoś i żalu im się umniejszyło. Znali wszyscy księdza Jacka, a nie tylko w Kościelcu, ale i wszędy po wsiach okolicznych. Wychodził on często z Krakowa pomiędzy lud wiejski i zawsze tam zawitał, gdzie była największa potrzeba, jako prawdziwy Anioł z nieba. Nieraz to się nie mogli ludzie dość nadziwować, od kogo wiedział ksiądz Jacek, że w tej wsi leży biedna wdowa bardzo chora, a dziatwa jej mrzy z głodu i gdyby nie jego rychła pomoc, toby i kobiecisko zmarło i z dziećmi Bóg wie, coby się było stało. — To znowu w jednej wsi był gospodarz straszne ladaco; nie dbał o nic chociaż miał babę dobrą za żonę i z nią kilkoro dzieci. Co dnia dopuszczał się Boskiej obrazy: żonę bił, dzieci do złego nawodził, a gospodarz z niego był najgorszy. I oto kiedy już było tak źle, że tuj tuj co się wszystko nie rozpadło, ksiądz Jacek zawitał naraz z Krakowa, grzesznika nawrócił do Boga i jakoś tak pobłogosławił, że i gospodarstwo się podźwigło i w domu odtąd święty był spokój. — A niechno Wisła wyleje na wiosnę, to ksiądz Jacek już wie najlepiej, w której stronie woda najwięcej poczyniła szkody i niesie tam pomoc. A jak pogorzał który, pewno tam zaraz na drugi dzień, a często jeszcze tego samego dnia miał księdza Jacka z pociechą u siebie. I tak we wszystkiem i wszędzie do koła Krakowa ksiądz Jacek dominikan jawił się jak ten Anioł z pociechą i błogosławieństwem. Toć go też ludzie het po wsiach znali i bardzo kochali.

Otóż i wtedy gromada kościelecka mocno się uradowała, że ksiądz Jacek do nich przybywa. Wybiegli naprzeciw niego jako te dzieci do miłego ojca, a on ich wita: — Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus — ale nie pyta: jak się mają, bo już wiedział o całem nieszczęściu i właśnie dla tego przeprawił się był do nich przez Wisłę. — Idzież przodem ksiądz Jacek, wedle niego stary sołtys a tuż za nimi cała gromada, i tak zaszli aż na miejsce, gdzie tyle szkody ludziom sprawiła burza. Patrzą co ksiądz pocznie — a on zaraz upadł na kolana, wzniósł obie ręce i oczy ku niebu i począł na głos się modlić. A stary sołtys i cała gromada padli też na kolana i powtarzali święte słowa modlitwy. Potem ksiądz Jacek wstał z ziemi, wyjął cudowny krzyżyk co

go zawsze nosił na piersiach i wstąpił na pierwszy zagon z kraju a ludziom nie kazał wstawać, jeno żeby klęczeli a modlili się. Aż tu patrzą: cud! zagonem kędy poszedł Święty, wstaje zboże piękne, piękniejsze jeszcze niż było przed burzą. Więc co się tam działo natenczas kościeleckim ludziom — któżby nie odgadł?... a tu ksiądz Jacek wciąż chodzi z krzyżem po zagonach, a za nim wciąż cudne zboże wstaje — aż przeszedł od końca do końca: i całe pole porosło zbożem i był znowu piękny urodzaj, a jeszcze piękniejszy niż przed burzą...

Dopieroż to dziękowała gromada za ten cud księdzu Jackowi. Ale on rzekł: — Nie mnie, ale Panu Bogu wszechmocnemu dziękujcie, boć to On sprawił ten cud, jeno przezemnie sługę swego. —

I pożegnał ich i już samym wieczorem przeprawił się Wisłą do Krakowa.

KONIK ZWIERZYNIECKI.*)

Skończyła się procesja u Panny Marji,
— Dokąd ten lud tłumnie spieszy po tej procesji?...

Jedzie włoczek zwierzyniecki w tatarskim turbanie:
— Hola z drogi mospanowie, hola piękne panie!

Hola z drogi, bo buławą w wszystkie strony miota,
Tego palnie a tamtego napędzi do błota.

Już ten tryumf pięć stuleci Kraków dochowuje,
Jak w oktawę od Zwierzyńca konik wyskakuje.

Bo też temu pięć stuleci z okładem minęło,
Jak tatarstwo dzikie, sprośne, na Kraków ściągnęło.

A ściągnęło z pozawiśla, od węgierskiej strony,
Właśnie kiedy procesyją lud był zabawiony.

Hoła włoczki tęgie chłopy, długo nie czekali,
Jak do wioseł się rzucili, hordę odżegnali.

---

*) Zwierzyniec, tak się nazywa jedno przedmieście w naszym Krakowie.

Jeden ubił psa ich wodza, a zwlókłszy ubranie,
Na sam rynek wjechał konno w tatarskim turbanie.

Wszyscy Bogu dziękowali, włoczków uwielbiali, —
Dziś każdemu wspomnieć miło, co przed laty było.

Anna Krakowianka.

BARTEK POŁATAJKO,

czyli:

Jak Srul Piffyłpyf robił po śmierci testament — a dla Mendla Kluga był ztąd za życia wielki lament.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Z czapką na bakier, z sękatą laską w ręku i sporem zawiniątkiem na plecach, szumno, buńczuczno i zamaszysto sunie gościńcem Bartek Połatajko a tak ogniście gwiżdże i przyśpiewuje, że jak to mówią aż kamienie pryskają z drogi.

I na bok z nosem, kiedy idzie Bartek Połatajko! boć aż strach zbiera, tak wygląda jurno i zawadyacko.

Alić jak i djabeł nie taki straszny jak go malują, tak i nasz Bartek nie taki zawalidroga, jakby się zdawało z miny i czupryny; owszem, jak mówią ludzie: poczciwe to człeczysko, a choć niejednemu łatkę przyczepi, toć nie można mu tego brać za złe, bo już takie jego rzemiosło.

Bartek jest sobie szewcem wędrownym, łata biedę jak może, a dziury jak umie, i wesoło, swobodno, z całym warsztatem na plecach, włóczy się ze wsi do wsi, a gdzie się pokaże, to już ratunku nie ma, tak się walą i tłoczą do niego ludziska.

Boć nie ma co mówić: Bartek Połatajko majster nad majstrami. Furda że duchem złata but, choćby był dziurawy jak stare rzeszoto, ale Bartek także od ucha rzępoli na skrzypcach, że choćbyś się przykuł do ziemi, to nogi same podrygują jakbyć kto szpilkami kłuł w pięty.

A do tego jak wam zacznie bajdurzyć, przypowiadać, przyśpiewywać, to tylko gębę rozdziawiaj a pilnuj się, abyś uszy nie pogubił. Choćbyś z frasunku nos zwiesił na kwintę, to ci

go pocieszny Bartek wyprostuje prędzej jeszcze, niż wykrzywiony zapiętek, a choćby ci troski gęstemi zmarszczkami osiadły na czoło, to je rozpędzi i wygładzi czoło, jakby skórę nabił na kopyto.

Śród śmiechu i gwaru obłatał całą wieś sąsiednią, a teraz wali wprost do Niklewic, niosąc spory pęk nowych podeszew i przyszczypek.

Było to jeszcze bardzo do dnia, słońce ledwo zeszło na niebie, Bartek przyspiesza kroku, boć to już pod nosem niklewicka karczma, a jej arendarz Mendel Klug ma zawsze dobrą wódkę i pszenne kugle przewyborne. Bartek bez śniadania wyszedł w drogę przed wschodem słońca i radby się już pokrzepić uczciwie.

Za kilka chwil dopadł nareszcie karczmy i z trzaskiem wszedł do szynkowni.

Stanął w progu i patrzy, a w karczmie krzyk i lament — istna Sodoma i Gomora.

Mendel jak opętany biega po szynkowni, rwie brodę i pejse, zawraca oczy, zgrzyta zębami, jęczy w niebogłosy: *ach waj! i oches mir!* Ani uważał nawet, że Bartek wszedł do szynkowni, tylko ciągle płacze i lamentuje, a za nim jeszcze głośniej zawodzi Mendlowa.

— Cóż to się stało? — myśli sobie Bartek — Hej Mendlu — zawołał głośno — co to wam takiego?

Ale Mendel tylko głową kiwnął, zęby zacisnął i znowu jęknął: *ach waj! oches mir!*

— No Mendlu, gadajcie co macie za frasunek — może ja wam co poradzę.

Żyd znowu jęknął ciężko i ręką machnął, ale nagle wypatrzył się na Bartka, rozdziawił gębę i wyłupił oczy, jakby mu jakaś myśl szczęśliwa zwolna przychodziła do głowy.

Aż też nagle uderzył się po czole, na łokieć podskoczył w górę i kłapnął jak w tańcu patynkami.

— *Aj waj* Bartku! — zawołał prędko — to pan Bóg ciebie tu nadniósł, ty mię musisz poratować w tem *grojse, grojse* nieszczęściu.

— I cóż to wam się przytrafiło? — pyta Bartek.

Ale żyd co tchu poskoczył do szynkwasu, nalał największy kieliszek z najlepszej flaszki i obces niesie do Bartka.

— *Ny* Bartku *lubuniu*, ja was *duże* kocham — prawi — wy mnie *musieć* poratować panie majster.

— Owa — myśli sobie Bartek — coś źle koło żyda.

— Bartku, *lubuniu*, *majsterku*, *aj waj*, ja mam wielkie nieszczęście — woła żyd dalej i nowy Bartoszowi nalewa kieliszek — napijcie się majstruniu, ja wam coś *będę powiedzieć*. I chwyta Bartka wpół i sadza go na ławę i pcha mu w rękę najbielszego kugla szabasowego.

— *Przikąszcie* sobie majstruniu — ja *tege* nie będę rachować, bo ja was zawsze *buł duże*, *duże* kochał, ja do was mam zaufanie jak do *rodzonego* brata.

Bartek Połatajko wypił drugi kieliszek wódki i pchając w gębę spory kawał kugla, pyta ciekawy:

— No gadajcież, co wam takiego?

Żyd pokiwał głową i potargał się za brodę:

— *Aj waj* majstruniu — powiada — wielkie mam nieszczęście. Ja wam *będę powiedzieć* wszystko, bo wy mnie wyratujecie z *tege kalamancyi*. Widzieliście sami: przy mnie mieszkał mój teść Srul, ja jemu *dogadzował* we wszystkiem, bo wiecie *wón* ma jeszcze drugiego *zęcia*, a tylko *jednego murowanego kamienica* na Podgórzu, *wodże wón obiecował* mnie zapisować *całego kamienica*, a drugiemu *zęciowi* Szmulowi, co jest wielki *lajdak*, *a ganew*, *a szwarze jur*, nie miał już dać ani pół *szelung*. Ja jego *dożyrał*, ja jemu dawał *wszystkiege* i ciągle ja jemu gadał: Srulu! róbcie testament. A *wón* zawsze: *ny*, *ny*, jeszcze czas do *tego*, ja jeszcze nie będę zadzierać nogów. *Ny* ja się tym kontentował, *ny* i proszę ja was majstruniu, powiedzcie sami co *wón* mi zrobił, *wón* tej nocy umarł nagle, *wón* nie zrobił testament, *wón* nie zapisował mi *całego kamienica*.

— Ha, no — rzekł Bartek — to się musicie podzielić kamienicą z szwagrem Szmulem.

Ale Mendel na to poskoczył w górę, jakby go kto świdrem załaskotał w pięty.

— Co, połowy *kamienica?* — wrzasnął jak opętany — ani małego *kawałek* ja jemu nie dam temu *lajdak*, temu *ganew!* Żebyście wy mnie tylko panie majster chcieli *dopomożyć*, *ny* toby wszystko *buło* dobrze!

— A cóż ja wam mogę pomódz — rzekł Bartek.

A żyd go oboma rękami chwycił w pół i zawołał prędko:

— Słuchajcie majstruniu, jak wy *mi będziecie dopomożyć*, *ny* to ja wam powiadam, nie będziecie tego żałować. Ja was będę zalecać do wszystkich żydów w Dembicy, ja was będę *prowadzić* do samego rabina, a wy wszystkim będziecie łatać *trzewików i patynków.*

— O i skóry im wyłatam, jak o to chodzi — przerwał Bartek wesoło.

— Będziecie łatać, będziecie łatać, ja wam powiadam — zapewniał żyd co żywo — ale musicie mi *dopomożyć.*

— Ale jak dopomódz?

— *Ny* już ja wam powiem jak, na to już moja *gluf.*

I przysunąwszy się do niego, szeptał przebiegły żyd dalej:

— Słuchajcie, nikt jeszcze nie wie że Srul umarł; ja będę *powiedzieć*, że *wón* tylko chory, bardzo chory. Wy się będziecie położyć w jego łóżku, wy będziecie stękać tak: *aj waj*, *oches mir*, a ja będę biegnąć do wójta, do przysiężnych, ja będę *przyprowadzić* pisarza, a wy pokrzykrywacie się *piržyną* i wy będziecie niby Srul umierać, i niby *wón* będziecie robić testament. Powiecie, że Szmul to wielki *lajdak*, wielki *ganew*, że *wón* waszą krew jadł, że *wón* wam *połamał* zdrowie i wy jemu nie zapisujecie ani *złamanego* szelong, a cały kamienic to ma być dla mnie, Mendla Klug... *Ny* napijcie się wódki, wy macie *glimboki* rozum, wy mnie zrozumiecie.

Ale Bartek zerwał się jak oparzony.

— Czyś się znudził żydzie, ja mam udawać umierającego Srula! — zawołał.

— *Ny* Bartku, Bartku, jaki wy raptusowaty — uspakajał go żyd — co wam to szkodzi, że wy będziecie umierać tak niby *wón.* Was to nie będzie ani grajcar kosztować, a ja wam dam jeszcze parę sorokowców i będę was prowadzić do rabina i wy jemu będziecie łatać *trzewików i patynków* szabasowych.

I nuż dalej prosić, błagać, zaklinać Bartka, nuż mu obiecywać złote góry, ba! już mu nawet nie mówił inaczej tylko panie majstrze, a gdyby się był Bartek jeszcze trochę targował, byłby go pewnie zrobił cechmistrzem.

Bartek się dziwnie jakoś uśmiecha i coś niedobrego patrzy mu z oczu, ale koniec końców przystał nareszcie na prośbę żyda.

Mendel mało ze skóry nie wyskoczył, z radości poleciał co tchu do alkierza, wywlókł nieżywego starego Srula z łóżka i schował go do komory, a Bartka Połatajka wpakował na łóżko, poobwijał biedaka całego w poduszki i pierzynę, tak, że mu nie było widać tylko oczy i kawał pejsa i brody, które mu przyprawił, uciąwszy nożycami Srulowi.

Bartek z przywiązanym pejsem i brodą wyciągnął się jak mógł najwygodniej w łóżku i zaczął udawać nieboszczyka, że Mendlowi aż serce skakało z radości.

— *Ny*, *ny*, dobrze panie majster, ja teraz będę *biegnąć* po wójta, świadków i pisarza.

I jak szalony poleciał na wieś i narobił ogromnego hałasu, że jego teść umiera i chce robić testament.

Nie minęło pół godziny, a już przybyli do karczmy: wójt, przysiężni i pisarz w bobrowej czapce i siarczystej po kostki kapocie. Żyd najprzód wszystkich traktuje najlepszą wódką i najbielszemi kuglami, a pisarzowi wściubił nawet banknot do ręki, aby dobrze pisał testament. Bartek tymczasem pod pierzynami w alkierzu stęka i jęczy, że by się kamień poruszył.

— *Aj waj!* — woła Mendel i oboma rękami chwycił się za głowę — mój biedny Srul jak *wón* jęczy strasznie, aż mi się niedobrze robi w kiszkach. Idźcie panie wójcie, niech wam gada tastament, a ja *het wucieknę* z domu, bo ja *duże* miękkiego serca. Tylko proszę was, nie *rozkrsywajcie* tam starego, bo *wón* nie może *sapać wiater*.

I wybiegł w samej rzeczy na dwór, a żonę postawił przy szynkwasie.

Wójt tymczasem z przysiężnymi i pisarzem weszli do alkierza. Poobwijany w żydowskie pierzyny Bartek, jęczał a ję-

czał aż uszy rozdzierało, a nic nie było widać z całej jego osoby, tylko kawał nosa i ten pejs przysztukowany.

— No, jak się tam macie Srulu — ozwał się wójt po ludzku.

— *Aj ww... wwaj... ach... ch... ches mirrr* — skomlił udany pod pierzynami Srul — ja duże, duże chory... ja chcę robić testament... ja *będę umrzeć.*

— Ale co tam gadacie, daleko wam jeszcze do śmierci, — pocieszał go wójt chrześciańskim sposobem. — A jeślić zasie już wam tak pilno robić testament, no to gadajcie wreszcie co chcecie, a pisarz tam wszystko zapisze, a my jako świadkowie potwierdzimy.

Udany Srul znowu okrutnie zajęczał i tak się wił i kręcił po łożu, jakby mu kto gorącej smoły lał za skórę.

— *Aj wwwaj* — lamentuje — tyle ludzi człowiek oszachrował na świecie, a śmierci ani rusz oszachrować!

— Co też gadacie Srulu — upominał go wójt poważnie — zaczynajcie lepiej robić testament.

— Ny, macie *recht* — odpowiedział cienkim głosem Bartek — piszcie ja wam *będzie gadać.*

Pan pisarz furknął piórem po papierze — a udany Srul dyktował:

— Moje obydwa *šęci*, to wielkie szachraje. Szmul wart *osšimnaście*, a Mendel *dwadšieści* bez *dwa*, ja ani jednemu ani drugiemu nic nie będę *šapisować.* Ja mam murowany dom na Podgórzu, ale z *tege* im będzie figa i *gudšik!* Ten szewc Bartek, co go *nazowają* Połatajko, *wón bardzo* dobry człowiek, *wón* mi za durno latał *patynków*, ja jemu przy was świadków *šapisowuje całego* dóm, ze *wšystkiem śmieciów.*

Wójt i przysiężni posłupieli z zadziwienia, a pisarz aż ogromnego żyda zrobił na papierze, tak się zdumiał setnie.

Ale że też wszyscy bardzo lubili wesołego Połatajka, więc radzi byli niezmiernie z tego i bardzo chętnie podpisali testament.

A udany Srul jęcząc i stękając pod pierzynami, odezwał się jeszcze:

— Ale proszę was *moiszcie* wy ludzie, nie *powiadajcie*

niczego Mendlowi, bo *wónby* mi nie dał *wumrzeć* spokojnie. Zanieście testament do *becyrku*, niech się dowie dopiero, kiedy ja *już będzie wumrzeć*.

Przyrzekli mu to wszyscy i prędko wynieśli się z alkierza, bo Srul jęczał tak okrutnie, że aż niemiło było słuchać.

Aliści ledwo weszli do szynkowni, a już przypada Mendel i pyta: a co? a jak?

— Już jest testament — odpowiada wójt.

— A może wón co zapisował Szmulowi? — pyta Mendel dalej.

— Figę mu zapisał — odpowiedział wójt i uśmiechnął się a przysiężny dziwnie jakoś machnął ręką. Mendlowi mało serce nie wyskoczyło z radości.

— A gdzież testament? — zawołał.

— Pójdzie prosto do urzędu — odpowiedział wójt.

— *Ny* dobrze, dobrze — zawołał Mendel spokojny, pewny będąc, że całą kamienicę już ma jak w kieszeni.

Więc też jeszcze na nowo potraktował wszystkich wódką i kuglami, a jak tylko wyszli z karczmy, poskoczył do Bartka i nuż go ściskać na wszystkie strony. Ale Bartek niecnota tylko się uśmiecha i oczyma łypie, a nic nie mówi ani słowa.

Tymczasem Mendlowa pobiegła do komory i na nowo włożyła trupa do łóżka, a potem już oboje zaczęli wołać, że Srul jak tylko zrobił testament, tak zaraz zastygł na wieki.

Bartek zabrał swoje manatki i rzekł do Mendla:

— Żeby się nie wydało, że to ja udawał nieboszczyka, więc ani godzinę nie zabawię dłużej, ale pójdę żeby mię tu nikt ani widział.

Żyd jeszcze go uściskał serdecznie i flaszkę najlepszej wódki i cały tuzin kuglów i kilka paczek tytoniu wepchał mu do torby i pożegnał go najczulszemi słowy. A nie pamiętał niecnota na nasze dawne, uczciwe przysłowie: *„kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.* On kopał dołek pod swym szwagrem Szmulem, a tymczasem ani się domyślił, jakiego sam sobie nawarzył bigosu.

Bartek czmychnął z karczmy szczęśliwie, a za kilka dni Mendel i Szmul musieli stawić się w *becyrku*, gdzie im prze-

łożony odczytał testament nieboszczyka Srula. W pierwszej chwili jakby piorun uderzył w obydwu, tak się przerazili na razie. Ale pierwszy opamiętał się Mendel, poznając jakiego figla wystrychnął mu Bartek. Poskoczył jak oparzony i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy, trzęsąc się jak we febrze:

— Wielmożny panie forsteher! — to fałszywy testament, to *grojse* wielkie szachrajstwo! to ten rozbójnik Bartek Połatajko mi takiego narobił *klopot* i kalamancyi.

I zaraz bez ogródki wyjawił wszystko co do kropli. I dostał się też z deszczu pod rynwę. Przyznawał się sam, że aby sobie przywłaszczyć całą kamienicę, chciał oszukać sąd i swego szwagra Szmula. Więc też zaraz za to przyznanie się powędrował do kozy a potem do kryminału.

Bartkowi nic się nie stało, bo tłumaczył się, że kiedy żyd chciał go nakłonić do oszukaństwa, on umyślnie tak robił testament, aby się wykryło wszystko.

Biedny Mendel nie dostał jak tylko pół kamienicy, miał kosztów i zmartwienia co nie miara. Zatoż w kozie mógł sobie dobrze spamiętać przypowieść chrześcijańską: ***kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.***

Ciekawy Wojtuś.

Szkło.

„Starość nie radość“ powiadają — siła dobrego co bywało za młodu, na starość się psuje. Takci i nasz rymarz Walenty, że to już człek nie dzisiejszy, na oczy był kiepski i nie dowidział dobrze. A był ci on w Bractwie różańcowem i śpiewał z książki litanie i antyfony do Matki Boskiej. Dawniej to mu to szło bardzo łatwo, a nieraz bywało i przez plecy sąsiada wyczytał wszystko i wyśpiewał. Ale teraz to już nie mógł inaczej śpiewać z książki, chyba jak włożył okulary na nos.

Owóż Wojtuś strasznie był ciekawy, na co też to są szkła takie. Jak więc raz Walenty wyszli do miasta, a okulary na

stole zostawili, tak mój Wojtuś skoczył chyżo, porwał okulary i wsadził sobie na nos. Nie chciały mu się one trzymać, bo to przecie daleko jeszcze Wojtusiowi do takiego nosa, jaki miał Walenty; przytrzymał więc sobie szkła ręką i patrzy. Aż się przelękł jakie mu się wszystko ogromne wydało. Jak więc tak sobie chodzi po izbie i przypatruje się wszystkiemu, wrócił niespodzianie ojciec do domu.

— Aha, złapałem cię, już znowu masz coś nowego — zawołał Walenty wchodząc do izby.

— To nic tatuniu, jenom trochę patrzał przez okulary — odpowiedział Wojtuś i z bojaźnią położył owe szkła na miejscu.

Walenty. No i cóżeś widział?

Wojtuś. Oj, toż mi się to takie ogromne wszystko widziało. Mój tatusiu, a to z czego te okulary?

Walenty. Jużeś ciekawy! A z czegóż by były jak nie ze szkła.

Wojtuś. Mój tatusiu, a z czegóż to szkło robią?

Walenty. Oho, jak widzę, to się już dzisiaj ciebie nie pozbędę. Chodźże chłopcze i siądź sobie koło mnie, to ci powiem, z czego się szkło robi.

Jak sobie więc usiedli, tak stary rymarz nałożył sobie fajkę i zaczął opowiadać ciekawemu Wojtusiowi:

Walenty. Owoż trza ci wiedzieć, że szkło robią *z piasku i z popiołu*. Dodają też trochę saletry i arszeniku, co go przecie znasz że jest straszna trucizna, i jeszcze innych rzeczy, a to wedle tego, jakie szkło ma być, lepsze czy gorsze. Jużci piasek musi być czysty jak się patrzy, a i popiół bez węgli. Miesza się to wszystko w ogromnej donicy i pali się pod nią setnie przez dwie doby. Jak się więc wszystko jak wosk stopi, bierze człowiek w tem nauczny długą piszczałkę, zamacza ją jednym końcem w donicy, aż mu się trochę z owego ciasta nabierze. Wtedy dmucha powoli i robi mu się ogromna, długa bania. Dopiero po tej bani zimnem żelazem pojedzie, aż mu ona pęknie z jednej strony. Wtedy kładzie ją do pieca, w którym nieprzymierzając tak jak na chleb napalono. Owóż w tym piecu rozchodzi się to do równa i robią się takie szyby jak tu w oknie widzisz.

Są do tego osobne fabryki, co się nazywają: *huty szklanne*, a ludzie co szkło robią, nazywają się: *hutniki*. A takie tam gorąco po tych hutach jak w piekle.

Wojtuś. A jakże to flaszeczki robią? a czasem są zielone, a czasem białe? albo i okulary?

Walenty. Ho, ho, powoli, powoli! — flaszeczki tak samo robią; jeno wtedy hutnik zwolna sobie dmucha w piszczałkę, a taki już w tem sprytny że jak chce, tak mu się uda, ani mniejsze ani większe. To szkło, co go po prostu z piasku, z popiołu i z trochą saletry robią, jest zawsze zielone. Kiedy zaś hutnik zechce żeby było białe, to miesza jeszcze do donicy kilka przygarści saletry więcej i także arszeniku jak to już rzekłem, a takie mu się potem zrobi jak najczystsza woda. Do okularów to już potrzeba większego majstra. Tam już musi być wyszlifowane równiutko, a tak zdarnie jako ziarnko soczewiczy, bo od tego wszystko zależy.

Mój Wojtusiu, wielkie to jest dobrodziejstwo, że nam Pan Bóg pozwolił nauczyć się szkło robić. Bo to widzisz, nic nie ma ładniejszego, jak czyściutka flaszka z wodą, cobyś przejrzał przez nią wszystko i szklanka do tego z uszkiem. Jakoś widzi człowiek co pije. A jak się da Bóg zestarzejesz i będziesz taki jak ja, to dopiero poznasz co to znaczą okulary!... Jak się to miło robi staremu, kiedy może dobrze czytać z książki i widzi zgoła wszystko przez szkło, gdy już same oczy nie statkują. A znowu nieraz widziałem, jakeś ty zaglądał do lusterka. Owóż widzisz, żeby nie było szkła, toby i nie było lusterka. A to przecież dobrze, kiedy człowiek czasem może spojrzeć jak też po sobie wygląda. To też i nie ma podłej chałupinki, gdzieby na ścianie nie było kawałątka lusterka. Teraz to tam o to nie trudno, a dawnemi czasami jak kto miał kawałątko, to myślał, że już cały świat za to kupi. Ale ludzie uczą się coraz lepiej i taniej wszystko robić.

Wojtuś. Mój tatusiu, a kto też to wymyślił szkło robić?

Walenty. Strasznieś ciekawy chłopcze, no, ale jeszcze ci powiem.

Dawnemi, bardzo dawnemi czasy, jeszcze nim nasz Pan Jezus się narodził, mieszkał ci nad morzem koło żydów jeden

naród, co to prawie sami kupcy byli. Jeździli więc ci kupcowie do różnych krajów i wozili na okrętach przeróżne rzeczy. A jak czasem przyjechali na jaką pustynię, co to ani człeka ani chaty żadnej nie było, tak sobie sami w polu jeść gotowali.

Raz przyjechali na jeden brzeg, co był jeno sam piasek a piasek. Co tu robić? Ha, rada w radę, jeść im się chciało setnie, trzeba jeść gotować. Znieśli więc trochę drzewa co było na okręcie, układli i rozpalili. Przynieśli i garnki, a mieli ten zwyczaj spierać garnki na kamieniach, coby się prędzej zagotowało. Szukają choćby okruszyny kamienia, a tu ani w ząb. Nie było inszej rady, tylko przynieśli parę bryłek saletry z okrętu, co ją właśnie wieźli na sprzedarz do innych krajów. I wzięli tej saletry, podstawili pod garnki i gotują. Niedługo było czekać, bo ci też i zawrzało. Toż się ta utraktowali jak tylko mogli na takiej pustyni i zabierali się dalej w drogę. Aż ci jeden z nich, co był kuchtą, bierze garnki, patrzy, a tu saletra tak się błyska do słońca aże w oczy raziło. Nie było to co innego, tylko szkło co się go trochę utopiło, bo był i popiół z drzewa i piasek i saletra. Ale owi kupcy nie wiedzieli nic o szkle, bo go nikt wtedy jeszcze nie znał. Jak się więc zaczęli przypatrywać i brać na rozum, tak i przyszli na to, że się to takie świecące umyślnie da zrobić. Zaczęli więc dudrać wedle tego i zrobili *szkło.*

Wojtuś. A to ładna historja!

Walenty. Ale teraz chłopcze już dosyć. Słyszysz że dzwonią na niespory, to mnie trza iść do kościoła. A ty tu siedź cicho i dobrze się sprawuj, póki z matką nie wrócimy.

Poszedł Walenty ze żoną do kościoła, a Wojtuś przemyśliwał sobie jeszcze długo o szkle i o owych kupcach co go wynaleźli.

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęśliwy ojciec. Na samą Wielkanoc we wsi *Powróżniku* w Sądeckim, smutny wydarzył się wypadek. Oto w tym dniu jeden włościanin miał potrzebę do Krynicy. A był on biednym wdowcem od roku, z dwojgiem dzieci, bo trzecie jeszcze łońskiego lata utonęło mu w rzece. Do Krynicy szła droga przez niewielką rzeczkę *Muszynkę*, która właśnie w tym czasie mocno wezbrała. Aby się dostać na drugą stronę, trza było przechodzić przez wązką kładkę, bo mostu nie było. Idzie tedy on nieszczęśliwy ojciec, zostawiwszy dzieci w domu. Aliści onem zrobiło się tęskno samem, więc pobiegły prostą drogą za ojcem. Już był na środku kładki, aż tu widzi dzieci biegnących za sobą. Niewiadomo tego, czy na nich krzyknął aby nie szły, a dzieci nie usłuchały, czy też im pozwolił przez nieroztropność. Dość że kiedy stanął na drugim brzegu i spojrzał po za siebie, zobaczył właśnie jak dzieciom na wązkiej kładce głowy się pozawracały i gdyby kluski jedno za drugiem potoczyły się w wezbraną rzekę. Strach mu na razie mowę odjął, a kiedy zaczął krzyczeć na gwałt i ludzie się pozbiegali — już było za późno. Wprawdzie wyciągnęlić z wody chłopczynę co był w siódmym roku, ale już nieżywego; dziewuchę zaś starszą, bo już miała ze czternaście lat, dopiero później sama woda na brzeg wyrzuciła. — Nieszczęśliwy ojciec! w jednym roku zmarła mu kobieta i troje dzieci w rzece utonęło.

Dobry pies na złodzieja. Podobno tej zimy jakieś ladaczyszcze zakradło się nocą do jednej porządnej zagrody i począł się do chlewu dobierać, bo wiedział dobrze, że w nim gospodarz chowa wieprza karmnego. Na nieszczęście jego był w tej zagrodzie setny pies a czujny stróż w domu. Duchem też zwąchał panicza i husia na niego. Złodzieisko z nienacka opadnięty, czując tuż za sobą psią mordę, przestraszył się wielce. A stało ci nieopodal na podwórzu drzewo, podobno grusza czy też jabłoń. Skoczył więc umykając przed psem i wydrapał się jak ten kot na drzewo. Pies zrazu szczekał, a potem już przycichł i tylko że się położył pod drzewem, wartując złodzieja aby nie uciekł. To też ile razy się tamten w górze ruszył, pies wyrczy i srogie zębiska pokazuje ku niemu. Krucha rada, trzeba cicho siedzieć i spuścić się na Bożą wolę. I siedział złodziej aż do dnia białego. Rano wychodzi z chałupy gospodarz, a nic nie wie co się tu w nocy działo. Na złodzieju skóra drzy, przytulił się bardziej do gałęzi i kłapie zębami trochę z zimna, trochę z przestrachu jak ten bociek kiedy dzióbem klekocze. A pies jak tylko zmiarkował gospodarza, tak zaraz ruszył się z miejsca i dalejże rwać się do drzewa i naszczekiwać. Przyszedł gospodarz popatrzyć, co to jest że tak pies ujada i ma się wiedzieć zaraz odkrył złodzieja. — A ty co tu robisz na mojem drzewie? zapytał. — Ot proszę was, powiada złodziej — szedłem sobie do domu, a tu ta bestja mię opadła i musiałem wyleść na drzewo. — Jakto? to przez moje podwórze droga ci do domu, złodzieju! a którędyś tu wlazł? — Przez płot wasz, dobry człeku; ale nie gniewajcie się bo ja nie złodziej, niech mię Pan Bóg skarze, jeśli prawdy nie gadam — powiada niecnota spuszczając się z drzewa. Gospodarz tego jeno czekał; zaraz go chwycił za kołnierz, narobił krzyku, ludzie wylecieli z chałupy, zbili złodzieja na kwaśne jabłko, a na ostatek związali jak barana i odstawili do sądu, gdzie też swoją karę odebrał.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpodzialny wydawca: **E. Winiarz.**